Rok I. Kraków, 15 marca 1870. Ner 8.



Czasopismo „Kwiaty“ wychodzi trzy razy na miesiąc, tojest 5, 15 i 25.

INSERATY
przyjmują się za opłatą 4 centów od miejsca drobnego wiersza (petit) z dołączeniem 30 centów na stępel rządowy, od każdorazowego ogłoszenia.

TREŚĆ:

PRENUMERATA:
roczna . . 6 złr. = 25 frank. = 4 tal. 15 sgr
półroczna 3 „ = 13 „ = 2 „ 10 „
kwartalna 1 „ 60 cent.
którą posełać należy pod adresem Redakcji „Kwiatów“ ul. Szpitalna L. 404.

Reklamacje nieopieczętowane, nieulegają opłacie pocztowej.

SZKICE
Z ŻYCIA ARTYSTÓW.

(Ciąg dalszy).

Felicjan uspokoił się nieco. Po godzinie przybyło więcej Polonji do knajpy, a kiedy Felicjan już późno powrócił do domu, nie zastał ojca na kanapie leżącego, jak się spodziewał tego. Poczciwy i otwarty charakter Węzełka poprowadził go najprostszą drogą do celu, wpadł nazajutrz dosyć rano nawet do pomieszkania Henryka i zastał obydwu, pułkownika i Henryka zajętych pakowaniem rzeczy.

Pułkownik przywitał go z wielką serdecznością, a Henryk widząc to, powitał go uprzejmie.

— Panowie, jak widzę, pakujecie się w drogę, więc przystępuję wprost do rzeczy, nie chcąc wam zajmować wiele czasu, i upraszam pana hrabiego na słów parę. Henryk wyszedł z nim do drugiego pokoju, a Węzełek rzekł do niego:

— Jestem przyjacielem Felicjana od lat wielu i ztąd bez żadnej przedmowy przystępuję wprost do rzeczy. Nie mamy czasu badać się nawzajem zdaleka i sztucznie, więc zapytuję: Czyś pan hrabia wydobył z niewoli ojca Felicjana?

— Nie! nie ja, rzekł Henryk stanowczo.

— To teraz zapytam zkąd ma ojciec Felicjana pieniądze? czy hrabia mu je dałeś?

Henryk zmięszał się i rzekł:

— Upewniam Waćpana słowem uczciwego człowieka, iż nie wiem zkąd pułkownik ma pieniądze. W stosunku w jakim do siebie stoimy nie poważyłbym się mu nic ofiarować prócz przyjaźni mojej, a teraz ofiarowałem mu gościnę w mym domu, gdy tego zażądał.

— Więc i pieniądze, które pułkownik dał Felicjanowi nie pochodzą od hrabiego?

— Zapewniam pana na wszystko, co mi jest świętem, iż nic nie wiem o tem, i upraszam pana jako człowieka zacnego, abyś stanął pomiędzy mną a panem Felicjanem jako pośrednik, bo jeżeli mi się teraz nie udało zasłużyć sobie na przyjaźń jego, to nie tracę tej nadziei na przyszłość, że się to nieporozumienie da usunąć przy pomocy pańskiej.

— Dokąd więc panowie jedziecie?

— Ja wracam do siebie na wieś, a pan pułkownik jedzie ze mną, bo pragnie znowuż stanąć na polskiej ziemi. Po bitwie pod Możajskiem dostał się w niewolę, gdy się po kilkudziesięciu latach z tej niewoli wyrwał, dostał się do Rygi i siadł tam na okręt, a na Szczecin i Wrocław przybył tu do Wiednia. Więc nie stanął dotąd jeszcze stopą na ziemi polskiej. Przed trzema dniami rzekł do mnie (a pan znając pułkownika wiesz o tem, że niewiele mówi, i że go nie wypada badać) otóż przed kilkoma dniami rzekł do mnie: „Odszukałem syna, to chcę odszukać grób żony, weź mię z sobą na wieś. Teraz kiedy mam dowody przeszłego życia mego w ręku, wypada mi jako-tako żyć wedle stanu.“ Nie tłomaczył mi tych słów więcej, ale polecił mi, abym się zajął jego bielizną, garderobą i zrobieniem innych sprawunków. Zniosłem tu tedy wszystko do pomieszkania mego, jak kazał, a pułkownik rzuciwszy okiem na rachunki zapłacił je. Tyle wiem i nic więcej wpanu powiedzieć nie umiem.

— Kiedy panowie jedziecie?

— Ha i pod tym względem czekam na rozkaz pułkownika. Kupiłem tu powóz, bo chcę, żeby jechał

wygodnie, a do tego powozu weźmiemy konie pocztowe. Pułkownik nie pozwolił sobie służyć, więc pakuje sam swoje rzeczy do waliz, prawdopodobnie wyjedziemy po śniadaniu.

Tu stanął pułkownik we drzwiach i kiwnął ręką na Henryka.

— Musimy razem pójść z sobą do ambasady francuskiej.

— Dobrze — rzekł Henryk — a czy dziś chcesz pułkownik wyjechać?

— Dziś, jak wrócimy.

Pułkownik był od stóp do głowy zupełnie świeżo przebrany: miał na sobie czamarkę krojem węgierskim lekko szamerowaną, i wojskową polską furażerkę na głowie. Z zadziwieniem spojrzał na niego Węzełek, a on uśmiechnął się i rzekł mu bardzo wyraźnie:

— Poczekaj tu na nas, proszę cię, my zaraz wrócimy. Poczem zamknął dwie walizy i schował do kieszeni klucze.

Po drodze prosił pułkownik Henryka, aby mu ułatwił porozumienie się w ambasadzie:

— Chodzi o to: jako wojskowy będę się musiał zameldować w głównej komendzie za powrotem do kraju, więc idzie mi o zatwierdzenie patentów na krzyże, do których mam prawo.

Wszedłszy do biura sekretarza legacji, zastali tam ambasadora przypadkiem i rzecz utarła się po krótkiej rozmowie.

— Wszystkie dekoracje były na kongresie wiedeńskim przyznane wojskowym polskim i francuskim z czasów cesarstwa, więc nie ma żadnej kwestji, tem bardziej, kiedy pan pułkownik ma w ręku stan swojej służby wojskowej; co więcej powiem na kanale „południa" jest oparta pensja, przywiązana do krzyża legji honorowej, której pan pułkownik przez lat tyle nie pobierał, będzie to znaczna suma i zajmę się tem, aby przedstawić i tę sprawę w ministerstwie, a do pana jenerała komenderującego tu w Wiedniu wyprawię notę i uwiadomię go, kto jesteś, i że wracasz do kraju. Tymczasowy certyfikat mogę dać pułkownikowi w tej chwili. Czasy się zmieniły, dzięki Bogu, a Francja ma zawsze prawo uważać zasłużonych wojskowych polskich za obywateli swoich.

— Tem bardziej, rzekł pułkownik bardzo spokojnie, że nie mam dotąd dymisji i uważam się zawsze jeszcze w służbie.

Ambasador uśmiechnął się i pokiwał głową, uściskał rękę pułkownika z serdecznością, a sekretarz wręczył mu certyfikat ambasady francuskiej.

Przechodząc przez Kolmarkt wstąpili do magazynu i pułkownik wybrał tu dekoracje krzyżów, do których miał prawo, na ozdobnej złotej sprzączce upiął mu złotnik miniaturowe dekoracjie krzyżów i pytał z uprzejmością, czy pozwoli sprzączkę przypiąć sobie odrazu czy chce ją mieć w pudełku. Pułkownik założył ją na górnej pętlicy czamarki i rzekł obojętnie do Henryka:

— Teraz możemy jechać, ale wiesz co, weźmy Węzełka z sobą.

Bardzo się podobał ten projekt Henrykowi, ale Węzełek mówił, że jechać nie może, że dla Felicjana zostać musi, ale że prawdopodobnie z Felicjanem razem wkrótce powrócą do Polski.

Podano śniadanie, a pułkownik prosił Węzełka, aby zjadł z nimi śniadanie i żeby ich przynajmniej do pierwszej odprowadził stacji. Siedli tedy do śniadania, a kiedy zdrowie pułkownika pili, ozwała się trąbka pocztarska przed bramą hotelu. Powóz, w który siedli, był spuszczony. Pocztarek strzelał z bata, i trąbił wesoło. Dzień był prześliczny, wiosenny.

Spędziwszy na bruku miejskim pierwszą wiosnę nie wiedzieli nawet wszyscy trzej, że już tak pięknie i zielono na świecie, i czuli się bardzo ożywieni, kiedy już miasto mieli za sobą, a przed sobą świat Boży, ożywiony całym pełnym oddechem wiosny.

Pułkownik zdjął furażerkę z głowy, odgarnął od czoła siwe włosy, a zamrużywszy oczy, podniósł nieco głowę i z dziwnym wyrazem twarzy, jak gdyby się chciał pozbyć wszelkich wspomnień przeszłości, kąpał niby strudzoną głowę ogrzanem powietrzem...

Węzełek, który był malarzem, dobył mały pulares z kieszeni i rzucił na papier portret pułkownika w kilkunastu genjalnie pochwyconych rysach, rzucił szczęśliwie wyraz tej twarzy na papier, i tej chwili pokazał szkic Henrykowi i zpoważnieli obydwa bardzo, lubo każdy z nich inaczej może pojmował tę chwilę, bo Henryk pojmował ją, jak człowiek serca, a Węzełek, pojmował ją jak artysta.

Na pierwszej dopiero stacji ocknął się pułkownik. Węzełek prosił o adres Henryka, i powrócił już nad wieczorem napowrót do Wiednia pocztowym wozem, który dopiero we dwie godziny po odjeździe pułkownika przechodził przez stację.

Felicjan leżał prawie chory na sofie, gdy Węzełek już szarą godziną na poddasze jego wstąpił.

— Czego będziesz gnił i leżał? wstawaj! chodź ze mną, pójdziemy do Prateru, czy my artyści? my nie artyści, ale gniołki!! na świecie wiosna, a my dyszem tu w tem zgniłem powietrzu.

I wyciągnął Felicjana z domu.

Od Prateru stały już drzewa zielone. Jakiś wonny wietrzyk pociągał od Dunaju. Pokrzepili się nieco w małej restauracji, a przechadzając się po najodleglejszych ulicach parku, doczekali się na krótkiej nocy, przy śpiewie słowika, wschodzącej jutrzenki...

Węzełek opowiedział Felicjanowi wszystko, czego dnia zeszłego był świadkiem, Felicjan uspokoił się znacznie, chociaż wszystko wydało mu się jakąś tajemnicą.

— Słuchaj Felicjanie, gdybyś ty nie był głupi, to wiesz cobyś zrobił? Oto wziąłbyś pieniądze, które ci ojciec dał, oporządził byś siebie i Węzełka trochę, nająłbyś landkuczera, i nie myśląc wiele pojechalibyśmy oba za ojcem twoim, który o to prosił. Tam na miejscu wyklarowałoby się wszystko, a cóż mówisz, może i panna Wanda nie gniewałaby się za to, gdyby zdziczały artysta odszukał się znowu na gruncie.

— Dobrze, że to poruszasz. Od czasu przybycia mego ojca pisałem raz tylko do niej, teraz muszę jej opisać wszystko co dotąd zaszło, ona zapewne ujrzy ojca mego w kościele może już przyszłej niedzieli, muszę do niej pisać.

— Czy noc przeczuwana na świeżem powietrzu, czy myśl o Wandzie ożywiła tak dziwnie Felicjana, że się wydał i zdrowym i zebranym i jakąś nową nadzieją ożywionym, a to tak bardzo, iż Węzełek nie wątpił, iż po dniach kilku uda mu się skłonić Felicjana do wyjazdu z Wiednia i powrotu do Polski; wszystko tedy kierował do tego. Felicjan pisał przez dwa dni prawie list do panny Wandy, nie był to list, ale była to książeczka; gdy ją ukończył, popadł w dawną apatję i czuł się chorym; a Węzełek ujrzał po kilku dniach, że usiłowania jego nie odniosą skutku.

* * *

...Na bramce, w znanym nam majątku Henryka Jeleni Bród zwanym, nie spali już od godziny oboje państwo Tomaszowie. Słońce było już wybiegło nad góry, a pani Tomaszowa sprzątnąwszy obie izdebki otworzyła okno, bo dzień był prześliczny, a że to niedziela była, ubrał się Tomasz już z rana w nową liberję do kościoła i chciał się udać do pałacu, by przewietrzyć pokoje, bo lada chwili spodziewano się zapowiedzianego powrotu pana.

W tem ozwała się trąbka przed zamkniętą bramą... Tomaszowa wyjrzała oknem i krzyknęła z radością: „Mój panicz!“ a Tomasz skoczył po klucz od wjezdnej bramy i zadzwonił w pałacowy dzwonek, który był na bramie, aby ostrzedz służbę o przybyciu pana.

Przed wielkiemi wschodami pałacu zatrzymał się powóz. Henryk wyskoczył i podał rękę pułkownikowi, przywitał Tomaszowę i Tomasza, i pytał, czy pokoje otwarte.

— Wszystko jest na przybycie pańskie przygotowane, ale nie spodziewaliśmy się, żeby Jaśnie Pan tak rano przybył, więc może panowie raczą tu przebyć w ganku, a ja otworzę pokoje.

— Ot idź, a nie gadaj! — rzekła Tomaszowa — bo i ja czekam na dyspozycję mojego panicza, a czem panu służyć?

— Daj nam dobrej kawy, ale z imbryczka, my siądziemy sobie tu w ganku, niech przewietrzy pokoje i rozpakuje rzeczy, dla nas kawę na ganek, a dla pocztowych koni dać obrok. Moja Tomaszowa, człowiek co ze mną przyjechał, jest to Czech, strzelec, którego przywiozłem, aby zwierzyniec przyprowadził do porządku, przyjdą tu za nami i daniele i bażanty; dacie mu w oficynie porządny gościnny pokój, gdzie z panem leśniczym razem jadać będzie. Na teraz pospieszcie moja Tomaszowa, bo my w całej drodze z Wiednia nie wysiadaliśmy prawie z powozu, a już dzisiejszą noc to wieźli nas jak wiatr szalone pocztarki.

— Przyślę tu na dyspozycję kucharza — rzekła Tomaszowa i szukając kluczy po kieszeniach pobiegła do kuchni.

— Dobrzy jacyś ludzie — rzekł pułkownik.

— To jeszcze spuścizna po moich rodzicach — mówił Henryk — oboje znali jeszcze żonę pana pułkownika.

Pułkownik milczał, zadumał się i spytał po chwili:

— Gdzie tu kościół i cmętarz?

Henryk wskazał ręką.

Kawę podano na kamiennym stole, który stał w ganku. Po kawie rzekł pułkownik Henrykowi:

— Daj mi laskę, chce się przejść trochę i zapoznać się z okolicą.

— Czy mam panu pułkownikowi służyć? — zapytał Henryk.

— Nie, dziękuję — rzekł pułkownik stanowczo, i poszedł zwolna ku bramie.

Henryk domyślał się, że idzie odszukać grób żony i chce być bez świadka.

Jakoż nie omylił się. Po godzinie może powrócił pułkownik wzruszony bardzo, ale zarazem jakiś dziwnie niby pocieszony; zdało się, że teraz dopiero dobrze mu było, że przystał sercem do miejsca, że się z losem swym pojednał, bo dopełnił ostatniego pragnienia, jakie miał jeszcze w życiu.

Henryk wprowadził go teraz na salę. Tomaszowa ledwo nie zginęła z ciekawości, ktoby to był ten większy pan, co z paniczem przyjechał? Henryk widząc to wytrzymywał ją z umysłu i tak minęło godzin parę. Oba podróżni przebrali się po drodze, a gdy w kościołku ozwały się dzwony na sumę, zaszedł kabrjolet przed wschody i pułkownik pojechał razem z Henrykiem do kościoła.

Powozy i bryczki z całego sąsiedztwa stały do koła kościoła, i suma była już wyszła, gdy Henryk, podając rękę pułkownikowi, wszedł przez zakrystję i z uszanowaniem wprowadził go do kollatorskiej ławki, obok której stał przez całe nabożeństwo nie zajmując miejsca.

Całe sąsiedztwo z okolicy zgromadzone przypatrywało się ciekawie obydwu przybyłym. Henryka znali już wszyscy z kościoła, ale ktoby był ten orderowy jegomość, znać były woiskowy, trudno się będzie dowiedzieć o tem od pana hrabiego, bo pewnie znowu ucieknie za ołtarz.

Nie tak się stało, gdy przyszło do ucałowania patyny, wskazał Henryk z uszanowaniem pułkownika, potem ucałował ją sam i podał znowu pułkownikowi rękę i wyprowadził go na cmętarz.

To był tedy pierwszy zawod dla parafialnej publiki, drugi, jeszcze większy spotkał ją teraz, bo z odkrytemi głowami przeszli obydwa przez cmętarz, kłaniając się z uszanowaniem na obydwie strony i udali się na blizką plebanię, ku której całe sąsiedztwo ciągnęło.

Do wielkiej izby jadalnej, zastawionej jak na odpust wszedł po chwili ksiądz proboszcz i powitał najprzód kolatora.

— Cóż to za zaszczyt, mości hrabio, że biednego odwiedzasz plebana?

— Chciałem przedstawić księdzu dziekanowi naszego gościa, który mię prosił, żebym go w domu księdza dziekana całemu przedstawił sąsiedztwu, ale że ja sam nie mam honoru być znanym, więc upraszam księdza dziekana, abyś nas obu przedstawił wszystkim tu obecnym. Jestto pan pułkownik (tu wymienił imię pułkownika), który wraca z niewoli moskiewskiej i przybył tu odwiedzić grób swej żony.

Zadziwienie wszystkich było wielkie, były nawet osoby co się cofnęły. Jedna z dam starszych wydała jakiś krzyk i wsparła się na córce, ks. dziekan rzekł, widząc zadziwienie wszystkich:

— I cóż to dziwnego? juścić nie nieboszczyk, żyje i wrócił z niewoli, a my witajmy go sercem pełnem uszanowania!

Pułkownik zrozumiał, co się w koło niego działo, a ksiądz dziedan, chcąc zatrzeć wrażenie nie miłej sceny dla pułkownika i dla wszystkich obecnych, zawołał wesoło:

— Kiedy Bóg się nam dziś ucieszyć dozwala przybyciem tak zacnego gościa, to pozwólcie W. Państwo, że od niego zacznę i w ręce jego wypiję.

Tu poszły dopiero szepty pomiędzy obecnemi... Opowiadano sobie o nieboszce żonie pułkownika, o księdzu Lipskim, o młodym artyście Felicjanie, który gdzieś w świecie bez wieści zginął. Byli już tacy, co wiedzieli o tem, że pułkownik był już rankiem na cmętarzu i modlił się na grobie nieboszczki swej żony. Wszystko razem obudziło żywe zajęcie i dla hrabiego i dla pułkownika; ksiądz dziekan przedstawił ich wszystkim obecnym z kolei, Henryk ostrzegł byle mówić wolno i wyraźnie, to pułkownik rozumie wszystko, choć nie słyszy.

Rozmowa tedy ożywiła się przy śniadaniu i była już może druga godzina z południa, kiedy zaczęły przed plebanję zachodzić powozy, a obok księdza dziekana żegnał Henryk i pułkownik wszystkich: „Do zobaczenia!“ co się domyśleć kazało, że całe odwiedzi sąsiedztwo.

Powszechnie, i ledwo, że nie najwyżej poważaną osobą w całem sąsiedztwie była pani majorowa z Saru, która o pół mili od Jeleniego Brodu miała majątek; przybyła ona do kościoła z córką swoją Wandą i robiła niejako honory domu przy owem śniadaniu, uproszona o to raz na zawsze od księdza dziekana. Pani majorowa mieszkała od dawna w tej okolicy i żyła w przyjaźni jeszcze z rodzicami Henryka i z żoną pułkownika. Kiedy pułkownikowi swoją córkę przedstawiała, chciała Wanda ucałować rękę pułkownika, pułkownik usunął ją, a Wanda rzekła do niego:

— A przecież ja powinnabym mieć prawo do tego, bo jestem córką polskiego żołnierza i przyjaciołką od dzieciństwa pana Felicjana.

Pułkownik podziękował jej, i usiadł obok pani majorowej na kanapie, obok niego stał Henryk, a przed niemi stała Wanda.

— Jak to? — zapytał ją Henryk — pani jesteś przyjaciołką pana Felicjana?

— Tak jest — odpowiedziała Wanda — a pan Felicjan jest przyjacielem moim. Właśnie dziś o świcie odebrałam list od pana Felicjana, w którym mi donosi o podróży panów do Jeleniego Brodu.

— Pan Felicjan pisuje do pani?

Wanda rozśmiała się.

— Odkąd pisać umiemy oboje, pisujemy do siebie, ale na ostatni ten list musiałam długo czekać.

Pułkownik patrzał bardzo uważnie na jej usta. Rozmowa przerwała się, bo pani majorowa prosiła wszystkich do sniadania, ale tych kilka słów wystarzzyło i dla Henryka i dla pułkownika, że kluczem do przeszłości Felicjana, a może i do serca jego, jest Wanda, kiedy znią jedną od młodości nie zerwał stosunków.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ŚPIEW KOZAKA

wolny przekład z Beranżera

przez

Teodora Rutkowskiego.



Druhu kozaczy, pędź mój koniu lotny,
Przy surm odgłosie, śród strzałów łoskotu;
Dziarski w ataku — w rabunku obrotny —
Podemną, śmierci pożycz twego lotu.
Siodło twe proste, munsztuk nie wspaniały,
W przyszłych zdobyczach są twoje nagrody,
Dumny twym jeźdźcem, rżyj koniu zuchwały,
I tratuj w pędzie króle i narody.

Pokój w odwrocie, placu nam ustąpił,
Stara Europa straciła swe szańce,
Los dzisiaj złota nie będzie nam skąpił
Pójdziem po łupy aż na świata krańce;
W pysznej Sekwanie, pianą znoju biały,
Znów się napijesz — krew zmyjesz jak wprzódy.
Dumny twym jeźdzcem, rżyj koniu zuchwały,
I tratuj w pędzie króle i narody.

Ludów cierpiących oblężeni zgrają,
Książęta, księża i możni z herbami,
Strwożeni, naszej pomocy wzywają;
Na knut się godzą — by być tyranami —
Lancą mą strzaskam, berła, pastorały,
A pysznych sercem popędzę jak trzody.
Dumny twym jeźdzcem, rżyj koniu zuchwały
I tratuj w pędzie króle i narody.

Widziałem w nocy pod naszym taborem,
Postać Atylli — Światoborców Pana —
Na zachód groźnie wskazywał toporem
I wołał: na koń! znów mi władza dana.
Posłuszny ojcu, i w nim duszą cały,
Znowu na krwawe za nim spieszę gody.
Dumny twym jeźdźcem, rżyj koniu zuchwały
I tratuj w pędzie króle i narody.

Blaski, któremi Europa płonie,
Jej wiedza, którą tak pyszna i syta
Wszystko to w pyle, jak w morzu utonie,
W pyle co w biegu wzbiją twe kopyta.
Niszcz, niszcz, zacieraj, w trudzie twym wytrwały
Prawa, zwyczaje, świątynie i grody.
Dumny twym jeźdźcem, rżyj koniu zuchwały
I tratuj w pędzie króle i narody.

MIŁOŚĆ MAŁŻEŃSKA.

(Szkic historyczny).

(Ciąg dalszy).

Ze wszystkich ludzi, wchodzących w skład służby pani oboźnej, podobne położenie rzeczy najbardziej ugodziło w serce Glinki. Glinka, typ starego sługi, towarzysz kanclerza w jego podróżach po całej Europie, wśród których wyuczył się medycyny, towarzysz w bojach syna jego Jerzego, aż do śmierci tego ostatniego na błoniach Beresteckich, osierocony po śmierci swych panów, a przywiązany do rodziny Ossolińskich, przygarnął się do domu Kalinowskich, wybierając pomiędzy trzema córkami kanclerza dwór pani Urszuli. Wkrótce po przybyciu do Kamionki, Glinka nauką, prawością charakteru i wiernością, zyskał sobie zaufanie Samuela Kalinowskiego, a gdy pan oboźny wyruszał na boje z Tatarami, z całem zaufaniem powierzał swą małżonkę i dom pieczy starego sługi. Troska więc o zdrowie pani oboźnej płynęła z dwóch pięknych źródeł: z wierności przyrzeczenia i przywiązania. Byt jego wiązał się silnie z bytem pani oboźnej, a po nad tem unosił się duch poległego pana, który z poza grobu zdał się przypominać przyrzeczenia Glinki.

Co było robić w tak trudnem położeniu rzeczy? Samotność dla pani oboźnej była zabójczą, należało otoczyć ją kołem ludzi zaufanych, wciągnąć ją w życie towarzyskie, a tem samem zagłuszyć boleść. Uczepił się też tego środka pan Glinka z tą nadzieją, jaką się chwyta rozbitek deski. W tym celu słał gońców do sióstr pani oboźnej, do Tekli Lubomirskiej, wojewodziny krakowskiej, do Anny Teresy Denhof, starościny sokalskiej; pisał listy do bliższych znajomych i przyjaciół Kalinowskich, donosząc o groźnym stanie zrozpaczonej oboźnej, wzywając do przybycia w celu niesienia ulgi pociechą.

Wkrótce w dworze na Kamionkach biło życie niezwykłem tętnem. Liczbę gości powiększali OO. Bernardyni, z klasztoru w Husiatynie niedawno ufundowanego, przez hetmana ojca pana oboźnego. Z uczucia wdzięczności troskliwi o zdrowie pani oboźnej. Obok więc pociechy, jaką niosła rodzina, znalazła się i pociecha duchowna.

Ale Glinka pomylił się w rachubach. Boleść i samotność są nierozłączne, nie pomogły i siostry, nie na wiele się zdali Bernardyni, pani oboźna stroniła od ludzi, unikała sióstr, i w niemej zadumie a samotności tonęła w łzach. Mimo to nie rozpaczał jeszcze Glinka, szczęśliwa myśl, którą podyktowało przywiązanie i wierność sługi, błysnęła mu przed oczyma. Glinka spostrzegł, czego trudno nie było dopatrzeć się, że pani oboźna z upragnieniem oczekiwała zawsze nowin, odnoszących się do klęski Batowskiej, a zbiegów z wielką ciekawością słuchała.

Co za cel był tych wszystkich dopytywań się? tyczyły się one męża, a nieszczęście czy szczęście mieć chciało, że żaden z ocalałych nie umiał dać dokładnych wiadomości, co większa, żaden z nich nie mógł na pewne powiedzieć, że oboźny zginął.

Wprawdzie nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że wszystkich pojmanych ścięto, lecz skoro nikt własnemi oczyma nie widział śmierci oboźnego?.. a gdyby jakis wypadek, wypadki tak zwykły dziać się na świecie... jakaś szczególna chwila, myśl, wobec której zadrżałaby ręka mordercy?.. Przypuszczenia może śmieszne, ale gdy nic przeciw tym rojeniom pewnego postawić nie można?.. jednem słowam, gdyby przypuścić, że pan oboźny nie był ścięty?.. ztąd wypadnie wniosek naturalny, że żyje, a jeśli żyje, nie może być gdzie indziej jak tylko w niewoli. Ale dalej nasuwała się myśl pani oboźnej, ta myśl co zowie się nadzieją, promieniejąca cudownością, a zbawienna balsamem pociechy; gdyby mąż był pojmany w jassyr, dałby znać o sobie, pisałby, a zaraz nasunęła się odpowiedź, czyż nie mógł pisać, a list, a pismo, wysłane przez niepewnego posłańca, wraz z tym zaginęło w drodze o co nie trudno było, wśród ciągłych zamieszek wojennych i napadow... A więc przecież może żyć, mimo to, że listu nie ma. Te i tym podobne myśli nasuwały się nieszczęśliwej oboźnej, chwytała je w locie, podchwytywała sama siebie, to cieszyła się, to płakała, to znów błysnęło kilka promieni światła, światła nadziei, i znów pomrok, znów przepaść, bezdeń, rozpacz. Nie trudno pojąć, że stan taki umysłu wymagał zamknięcia się w sobie, był dla obcych niezrozumiałym, niepojętym, nieprzejrzystym...

Ale co oko zwykłych ciekawych nie mogło się dopatrzeć, przeczuł Glinka. Dla oka wiernego sługi, niby promienie słońca, wynurzającego się niekiedy z obsłonki czarnych chmur, błyskała prawda, zrazu będąca przeczuciem, czemś instynktowem, następnie zakreślająca się coraz wybitniej, coraz przejrzyściej. Co może dla samej obrony tonącej w loicznej tkance myśli i przypuszczeń, było bezwiednem, dla Glinki stało się jasnem, a jasnym był przynajmniej środek, ulga na boleść oboźnej.

Podszepnąć pani oboźnej, że mąż żyje w niewoli? Nie uwierzy? uwierzy, bo pragnie tego, bo stan psychiczny jej tego wymaga. W ostateczności zażąda dowodów? podstawić jakiegoś niby zbiega, który widział przy życiu p. oboźnego... Fałsz może się z czasem wykryć? Mniejsza o to, cel uświęca środek. Oboźna przyjdzie do zdrowia, smutek przejdzie, a wtedy niech się fałsz wykryje.

Glinka pochwycił się z radości za głowę, a łzy strumieniami popłynęły z ócz wiernego sługi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

To i owo o literaturze Moskali.

przez Cz. P.

W piśmie naszem wyraziliśmy zdanie, że Moskwa ubrała się w zrabowane Sławiańszczyźnie szaty. Jeżeli zdanie nasze zastosować można w zupełności do całego

ustroju moskiewskiego państwa, w którem duch tatarski w sławiańskiej postaci zawładnął miljonami niewolników, to tem więcej zastosować je można do języka i literatury Moskali. Język moskiewski — pominąwszy jedną piątą część pozostałych w nim tatarskich pierwiastków— jest dziś językiem sławiańskim. Literatura zatem moskiewska, powinnaby liczyć się między literatury sławiańskie, a więc europejskie. Że jednak na literaturę dwie składają się rzeczy, a to język i duch narodu, a ten duch narodowy nielicuje z Europą, zatem literatura moskiewska językiem za europejską, duchem swym przeważnie za azjatycką uważaną być może. Gdzie nie ma wolności nietylko słowa, ale nawet powiedzieć można, wolności myśli, tam nie może być mowy o rozwoju literatury. Gdzie ludzie piszą, mówią i myślą według ukazu carskiego, tam literatura albo urzędową się stanie, albo zmartwieje w zarodku.

Zobaczymy w następnych pomówieniach, prawdziwość tego twierdzenia, a teraz usprawiedliwić musimy powody, które nas skłoniły do zajęcia się literaturą moskiewską.

Krzywdy, jakich doznaliśmy i doznajemy ze strony rządu moskiewskiego, oraz ten świeżo po r. 1863 rozbudzony duch nienawiści narodowej, jaki trysnął z pod pióra Katkowa i Katkowców, a wionął na nas całą zjadliwością, nie pozwalają nam bez pewnej odrazy spoglądać na wszystko, co moskiewskie.

Spodlenie narodowe Moskali, pogańska cześć dla caryzmu, zgnilizna moralna i obrzydliwe utopje nihilistów, odrazę tę zwiększają. Jednakże, te właśnie okoliczności, nasuwają nam w literaturze moskiewskiej przedmiot, tem ciekawszy, tem więcej budzący interesu, jeżeli zechcemy porzucić na chwilę odrazę, a z obojętnością badacza, wpatrzymy się w te szumowiny zmącone niewolą, śród których jednak — nie jedna znajdzie się perełka.

Mimo dowodów pochodzenia tatarskiego Moskali, moglibyśmy przyjąć fakt dokonany zesławiańszczenia się tychże, moglibyśmy uznać ich za członka rodziny sławiańskiej, moglibyśmy niewyrzucać im nadal rasy tatarskiej, tak samo, jak przyjęliśmy liczne rodziny tatarskie na Litwie osiadłe do naszego narodu, tak samo, jak wcieliliśmy do siebie Ormian, tak samo, jak Żydów spolszczyć pragniemy. Istotnie, byłoby to pewną nielogicznością ze strony historji naszej, gdybyśmy uznając Tatarów litewskich za Polaków, nieuznawali Tatarów moskiewskich zesławiańszczonych, za Sławian. Naród moskiewski, liczny miljonami, spotęgowałby Sławiańszczyznę liczbą nowych adeptów. Jeżeli więc moglibyśmy to zrobić, dla czego niemożemy?

Na pytanie to, łatwa nasuwa się odpowiedź.

Sławiańszczyzna cała, choć wyzuta z samodzielności. niewyzuła się z poczucia wolności, z poczucia godności obywatelskiej i jest na drodze ciągłego rozwoju. Sławiańszczyzna chętnie powiększy liczbę swej rodziny, jeżeli do niej przystąpią obywatele.

Moskale nie mają poczucia obywatelstwa, Moskale mają poczucie niewolnictwa. Są niewolnicy, przemocą w niewolę okuci. Są to niewolnicy ciała — lecz duchem wolni, potężni, nieśmiertelni. Moskale nie są takimi. Moskale są niewolnikami podwójnymi: niewolnikami ciała i ducha, niewolnikami z przemocy i wolnej woli. Moskal zrodził się niewolnikiem, żyje jako taki— a inaczej żyćby nie umiał. Takiego tłumu, Sławiańszczyzna przyjąć nie może, przyjąć niepowinna — przed tym tłumem ostrzega Europę stykająca się z nim Polska i na drodze do Sławiańszczyzny, stawia mu zaporę z swych piersi.

Jeżeli historja zmusza nas do nienawiści dla rządu moskiewskiego, to dla narodu moskiewskiego, nie możemy mieć nic innego, oprócz pogardy, którą się ciska każdemu, kto samowolnie wyzuwa' się z godności człowieka.

Wyjątki, jakie napotykamy w tym tłumie, bo narodem właściwie nazwać ich nie można, szubieniczne szkielety Bestużewów, cierpienia wygnańców moskiewskich, usprawiedliwią w nas nadzieję, że kiedyś tłum ten, poczuje się narodem, zohydzi sobie niewolę, a jeżeli nie zdobędzie wolności odrazu, to przynajmniej odepchnie od siebie: niewolę z własnej woli.

Ta nadzieja może się ziści, — a wtedy — jeżeli Moskale cofną się we właściwe granice i sprawiedliwość wywieszą na swoim sztandarze, Sławiańszczyzna uzna ich za swoich, a Polska w rodzinne wprowadzi ich grono.

Tak więc z jednej strony azjatyzm i niewolnictwo Moskali, z drugiej strony ta nadzieja, o której mówiliśmy, skłaniają nas do pomówienia z czytelnikami „Kwiatów“ o „Tem i owem z literatury moskiewskiej.“

Przystępując do rzeczy, na wstępie wypowiedzieć musimy, że literatura moskiewska nie jest rodzimą, wyrosłą z potrzeby narodowego ducha, ale rośliną egzotyczną, zaszczepioną na moskiewskim gruncie. O ile przechowała się w czystości, w jakiej zaszczepioną została, o tyle jest naśladownictwem; przesiąkła sokami Moskwy, stała się potworną mięszaniną artystycznej formy i barbarzyńskiej myśli. Są jednak wyjątki, z któremi się zapoznamy.

Życie literatury rozpoczęło się w Moskwie z chwilą zetknięcia się tejże z Zachodem, z chwilą, w której Piotr W. cywilizację europejską Moskalom wknutował.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PYTANIA I ODPOWIEDZI.

Od p. Zygmunta Glogera, autora zaszczytnie znanego dzieła: „Obchody weselne,“ otrzymujemy następujący list, odnoszący się do 4 numeru „Kwiatów,“ a mianowicie do pytań w tym numerze zawartych:

Panie Redaktorze!

W czwartym numerze Twego pisma, pośród *pytań i odpowiedzi* wyczytałem kilka uwag i domysłów nad początkiem znanego w całej Polsce przysłowia: *Djabeł wenecki.* Przytoczone są tam zdania Lindego, Wójcickiego i Długosza, który dał nam pierwszą wiadomość o Janie sędzi poznańskim z przydomkiem „*krwawego djabła,*“ dziedzicu wsi wielkopolskiej Wenecji (Joannem krwawi djabeł haeredem

de Venetiis). Długosz opisał nam tego Jana, jako człowieka okrutnego i nikczemnego, którego król Władysław Jagiełło za dopełnione gwałty i bezprawia, ukarał więzieniem i wyzuciem z dóbr. Za Długoszem powtórzyli to wszyscy nasi historycy od Kromera aż do Szajnochy (Jadwiga i Jagiełło T. I 378 i T. II 348—352).

Otóż winienem zwrócić uwagę, że w ostatnich czasach znany nasz badacz Józef Przyborowski, były archiwista starożytnego archiwum w Poznaniu, później profesor szkoły głównej w Warszawie, wyświetlił prawdopodobnie owo podanie Długoszowe. Przyborowski dowiódł na podstawie współczesnych dokumentow grodzkiego poznańskiego archiwum, że bynajmniej nie Jan sędzia poznański, jak podał Długosz, ale Mikołaj sędzia kaliski, nosił przydomek *krwawego djabła* a posiadał majętności: Kiszkowo, Rokitnicę, Rybno, Gorzewo i Wenecję i od niej zwany był *weneckim.*

Tym sbosobem Jan sędzia poznański, zwany Janem Czarnkowskim bogobojny jakiś ziemianin, a niesłusznie przez Długosza i potomnych obwiniony, skutkiem szczęśliwych poszukiwań Przyborowskiego, odzyskał po pięciu blisko wiekach dobrą sławę. (Obacz w *Piśmie zbiorowem wileńskiem* Jana ze Śliwina z r. 1859 Przyborowskiego: *Wiadomość historyczna o krwawym djable*). Cała zatem wina spadałaby na Mikołaja generalnego sędziego województwa kaliskiego, dziedzica owej Wenecji, z przydomkiem *krwawego djabła.* Jednakże z kilku spółczesnych dokumentów, które Przyborowski przywodzi, pokazuje się, że i ów krwawy djabeł nie był tak strasznym, jak go Długosz maluje, pozostawał bowiem przez pewien czas przy boku samego króla Władysława Jagiełły, fundował liczne klasztory i od ludzi był szanowanym. Zdaje się jednak, iż przysłowie o *Djable weneckim* słuszniej wzięło początek od owego Mikołaja z Wenecji, sędziego kaliskiego, aniżeli od sławnych weneckich zapustnych maszkar, jak to utrzymuje Linde i Wójcicki.

Jako rzecz małej wagi, muszę tu nadmienić, że jest jeszcze w Polsce inna wieś Wenecja; leży ona na Mazowszu w puszczach ostrołęckich, i djabła także mamy niejednego. W końcu XVI wieku sławnym był *djabeł Łancucki*, Stanisław Stadnicki ze Żmigrodu, pan na Łańcucie. Zginął on pod wsią Tarnawcem w okolicy Leżajska r. 1610 w bójce z chorągwiami Opalińskiego i Anny księżnej Ostrogskiej, której dobra najeżdżał. Od Łańcuta i awanturniczego życia, lud okoliczny dał Stadnickiemu nazwę *djabła łańcuckiego.*

TEATR.

Bardzo mało miejsca poświęcaliśmy w piśmie naszem teatrowi, ograniczając się na kilku wzmiankach o przedstawieniach, wyszczególniających się bądź to sztuką przedstawianą, bądź to występem niemiejscowego artysty. Regularne sprawozdania teatralne, zostawiliśmy pismom o rozmiarach obszerniejszych, nie chcąc robić uszczerbku głównym rubrykom „Kwiatów.“ Jednak, gdy obecnie sprawa teatru naszego, poruszoną została w dziennikach i stała się przedmiotem polemiki, nie możemy powstrzymać się od wypowiedzenia skromnych uwag o tej kwestji, nietylko lokalnej krakowskiej, ale smiało powiedzieć można, o kwestji krajowej, o kwestji narodowej. Niepotrzebujemy dowodzić, że teatr jest instytucją, która ważną odgrywa rolę w rozwoju życia narodowego, bo rzecz ta sama przez się jasno się przedstawia. Ażeby teatr korzystnie mógł wpływać na rozwój narodowego życia, powinien — najpierw, być przybytkiem sztuki w całem tego słowa znaczeniu, a powtóre — powinien mieć cechę narodową.

I jedno i drugie, powinno być zadaniem każdej dyrekcji teatru, tem więcej, jeżeli tych teatrów naród tak mało posiada. Właściwie bowiem, trzy tylko w Polsce mamy teatra, a i to niezupełnie, jeżeli zważymy, że w Warszawie pod gniotącą ręką cenzury, teatr odpowiednio na społeczeństwo oddziaływać nie może. Całe posłannictwo sztuki dramatycznej, skupia się na scenach: lwowskiej i krakowskiej.

Przypatrzmy się, jak scena krakowska posłannictwo swoje wypełnia.

Czy scena krakowska jest rzeczywistym przybytkiem sztuki?

Na pytanie to, decydującej nie można dać odpowiedzi, bo scena nasza pod tym względem częściowo nas zadawalnia, a częściowo zbyt wiele pozostawia do życzenia. Repertoarz składa się przeważnie z dzieł, które mając niepoślednią wartość artystyczną, zyskały uznanie krytyki. Na pochwałę dyrekcji, wypowiedzieć musimy, że chyba przypadkowo spotkać się nam wypadnie na scenie z podobnemi utworami, jak: Życie szulera lub Trójka hultajska. Jednak dobór repertoarza jest za jednostronny, bo komedji poświęcono scenę, z uszczerbkiem dramatu i tragedji. Wykonanie przedstawianych komedji, jeżeli nie zawsze może się zwać w całości artystycznem, jest niem niezawodnie w przeważnej części. Jednak całość wykonania, zasługuje na uznanie zawsze, z tego powodu, że niedostatki artystyczne, uzupełnia staranność, dbałość i wypracowanie.

Tu nasuwa się nam pytanie, jakie są powody tej jednostrości repertoarza, a powtóre, dla czego przedstawienia niezasługują w całości na nazwę: artystycznych. Na oba pytania, jedna jest odpowiedź: szczupłość personalu. Jednak szczupłość ta, nie pochodzi żadną miarą z winy dyrekcji, ale ze zbiegu okoliczności, w jakich się teatr krakowski znajduje, a powtóre z powodu małego poparcia ze strony publiczności. W tej mierze, nie możemy zarzucać złej woli dyrekcji, bo widzieliśmy, jak dyrekcja obecna przy objęciu kierownictwa krakowską sceną, skompletowała personal, jakie nagromadziła siły artystyczne, jak zestawiła rutynę obok talentu, i postawiła tem samem nasz teatr na stopie pierwszorzędnego teatru. Publiczność początkowo z zapałem napełniała teatr, a nowa dyrekcja, chlubnie wywięzywała się z swego zadania. Kraków naprawił sobie smak estetyczny, popsuty kilkoletniemi przedstawieniami potwornych dramatów francuskich, owych dziwadeł sklejanych z brukowych romansów dla uciechy gamenów paryskich. Rozstaliśmy się z Bijacami, Córkami gałganiarzy, z Rynaldinim, Montechristem, Wróżką, Ukrainką, z Djabłem w zalotach i z całą tandetą knajpowych fars niemieckich. Zapał publiczności ostygać począł, chociaż dyrekcja nie cofnęła się z drogi, na którą wstąpiła. Konieczność finansowa wymagała zmniejszenia personalu, lecz zmniejszenie to nie dało się zbyt uczuć, bo mimo niego widywaliśmy arcydzieła poezji dramatycznej, z całą precyzją artystyczną wykonane. Dopiero

wyjazd pani Modrzejewskiej, a następnie opuszczenie sceny przez p. Rapackiego, uniemożebniły na chwilę, zrównoważenie w repertoarze komedji z dramatem; na chwilę powiadamy, bo niewątpimy, że dyrekcja, która nam tyle dała dowodów troskliwości o scenę, uzupełni odpowiednio, uszczuplony personal artystów. Okoliczności uszczuplenia personalu, nie można przypisywać winie dyrekcji, ałe drugorzędnemu stanowisku Krakowa wobec Warszawy, która dwa pierwszorzędne zabrała nam tałenta.

Pod względem więc artystycznym, teatr krakowski, w warunkach, w jakich pozostaje, wogóle nie wiele pozostawia do życzenia.

Teraz wypada się nam zastanowić, o ile teatr krakowski zachowuje cechę narodową.

Jakkolwiek uzasadnionem jest zdanie, że sztuka nie jest własnością narodów, ale zdobyczą cywilizacji a własnością ludzkości, to przecież do dramaturgji w zupełności zastosować tego nie można. Poezja dramatyzzna tem więcej się rozwija, im więcej jej teatr użycza poparcia, ale mimo poparcia ze strony teatru, poezja dramatyczna się nierozwinie, jeżeli innych niema po temu warunków. Teatr zachęcić może do tworzenia, ale nie może tworzyć dramatu. Jeżeli więc utwory dramatyczne jak fenomena się pojawiają, nic dziwnego, że jako z rzadkością spotykamy się z niemi na scenie. Wprawdzie zarzucić nas kto może tytułami nowych dramatów i komedji polskich, ale w takim razie zrobimy uwagę, że grzechem jest estetycznym poświęcić artyzm, źle zrozumianemu patrjotyzmowi.

Jeżeli będziemy mieli do wyboru między dwoma równie doskonałemi utworami, z których jeden będzie polskim, a drugi obcym, to niezawodnie pierwszeństwo do wstępu na scenę, przyznamy dziełu polskiemu. Gdyby nam jednak kazano cofnąć się z arcydziełem obcem dla tego, że jest przed nami miernota swojska, to śmiałe przeciw temu położylibyśmy: veto. Obecna doba literatury naszej, wcale ubogą jest w utwory dramatyczne, a arcydzieła Fredrowskie i znakomite dramata nielicznych naszych dramaturgów, wpoiły się w naszą pamięć i spopularyzowały tak dalece, że nie ma nikogo prawie, ktoby ich nieznał, niepodziwiał, a podziwiając, był ciekawy, zobaczyć je na scenie.

Pod tym względem, ośmielamy się uważać zarzuty dyrekcji czynione, za bezzasadne, a co najmniej za surowe.

Oto uwagi nasze w krótkości rzucone o teatrze krakowskim, a teraz chcielibyśmy pomówić słów kilka o przedstawieniu benefisowem na dochód pani Parżnickiej.

W sobotę 12. marca spotkaliśmy się z pięcioaktowym dramatem F. Souliė, „Kochankowie z Murcji,“ przedstawionym na dochód pani Parżnickiej. Brak miejsca nie pozwala nam podać treści tego dramatu, więc pod tym względem odsełamy Czytelników naszych do codziennych pism krakowskich. To tylko nadmienimy, że jakkolwiek wspaniałym jest motyw tego dramatu, bo poświęcenie miłości kochanka dla miłości ojczyzny i pogarda, jaką kobieta rzuca w twarz kochankowi za to, że ją więcej niż ojczyznę ukochał — to przecież cała tkanka dramatu, tyloma przepełniona nienaturalnościami uczuć, charakterów, a nawet wydarzeń, a intryga tak słabo, a zarazem tak fatalistycznie zawiązana, że dramat ten, co najmniej, staje się jakimś anachronizmem na scenie, przypominającym sentymentalno-fantastyczne czasy Filonów.

Mimo tego, dramat ten zostawił nie małe pole popisu występującym w nim artystom. Pan Wolski w roli kochającego ojca, a zarazem zawziętego człowieka, z całą prawdą uwidocznił walkę miłości ojca z namiętnością zaciętego wroga. Pani Parżnicka w roli Stelli, trudne miała zadanie uwydatnić odcienia uczuć kochającej córki — kochanki — nieszczęśliwej żony, a pełnej poświęcenia patrjotki. Z zadania tego, wywiązała się pani Parżnicka ku zupełnemu zadowoleniu publiczności, która artystce nie szczędziła oklasków, a rzuceniem jej kwiatów złożyła należne uznanie talentu. Talent pani Parżnickiej kwalifikuje się do ról więcej lirycznych, spokojnych, cichych, w których cechą charakteru jest spotęgowane szlachetne uczucie, lecz bez namiętności.

Pani Parżnicka posiada organ miły, dźwięczny, choć czasem nieodpowiednio modulowany. Tak n. p. w scenie z Faustem w zamku Villaflor, kiedy Stella z całem oburzeniem, wyrzuca bratu jego postępowanie, akcja, mimika, zrozumienie sytuacji, były wyborne — artystyczne, niedopisywała tylko modulacja głosu. Raziło nas cokolwiek monotonności.

Pp. Benda i Ładnowski, z całą precyzją wykonali powierzone sobie role, z wyjątkiem przedostatniej sceny w piątym akcie, w której Villaflor opowiada jakim sposobem dostał się do obozu Abderamana i t. d. W tej scenie pan Benda nie chciał ufać swej pamięci, i za wiele zaufał suflerowi, w skutek czego opowiadanie straciło siłę, a stało się czasami niezrozumiałą gadaniną. Szczęściem, że scena ta będąc krótką, nie zatarła miłego wrażenia, jakie na publiczności wywarła całość gry p. Bendy. Podnieść jeszcze musimy noturalność gry pani Ekerowej, p. Fiszera. Inni artyści robili co mogli. P. Bogucki zająkał się dwa razy.

Cz. P.

Uwiadomienie.

W dniu 18. marca w lokalu Towarzystwa Przyjaciół Sztuk pięknych w Krakowie, przy ulicy Brackiej w domu tak zwanym barona Larisza Nr. 157 na 2. piętrze otwartą zostaje: Wystawa nieustająca. Zwiedzać ją można codziennie od godziny 11 do 2.

Każdy członek Towarzystwa, opłacający akcję, ma za okazaniem tejże akcji. wstęp bezpłatny wraz z żoną i małoletniemi dziećmi. Dla osób nienależących do Towarzystwa, wstęp jednorazowy za biletem kosztuje 20 centów.

Uczniowie szkoły malarskiej i rzeźbiarskiej, za okazaniem świadectwa swojej władzy, dostaną bilet bezpłatnie.

Biletów dostać można w kancelarji Towarzystwa.

Za sekretarza *Władysław Jankowski.*

☞ ***Do dzisiejszego numeru dołącza się dla zamiejscowych Prenumeratorów, prospekt czasopisma humorystycznego: „Djabeł.“***

Czesław Pieniążek odpowiedzialny redaktor, właściciel i wydawca.
W. hr. Bobrowski współredaktor.

W Drukarni „CZASU“ *W. Kirchmayera.* Rządzca Drukarni *Józef Łakociński.*